Książkę Elizabeth Strout „Mam na imię Lucy” czyta się szybko, łatwo i przyjemnie z uwagi na jej konstrukcję (krótkie rozdziały) oraz dużą czcionkę, jaką została wydrukowana, a to dla nas, seniorów, sprawa niebagatelna. Ale nie jest to lektura lekka. Mimo że po przeczytaniu (być może zawiniło tu szybkie tempo) nie zaznaczyła się jakoś szczególnie w mojej świadomości, podczas dyskusji nad nią w ramach DKK uzmysłowiłam sobie, jak wiele uniwersalnych problemów dotyka.

Główna bohaterka, Lucy Barton to młoda kobieta, wydawałoby się spełniona zawodowo, bo publikująca z sukcesami pisarka, mieszkanka Nowego Jorku, szczęśliwa mężatka i matka dwóch córek. Poznajemy ją w latach 80-tych, gdy choroba na kilka tygodni przykuła ją do szpitalnego łóżka. (I tu chcę wyrazić swój żal do autorki, że nie traktuje poważnie swoich czytelników i nie informuje, co właściwie było przyczyną tak długiego pobytu w szpitalu.) Możemy się tylko domyślać, że jej stan jest poważny, skoro z drugiego krańca St. Zjednoczonych przyjeżdża do niej matka. Niby nic dziwnego, prawda? Tyle tylko, że kobiety nie widziały się od kilkunastu lat.

Podczas ich wielogodzinnych rozmów cofamy się o 20 lat i poznajemy powoli traumatyczne dzieciństwo Lucy i jej rodzeństwa: siostry i młodszego brata. Rodzina żyła w skrajnej biedzie, przez co dzieci czuły się wykluczone, napiętnowane – chodziły źle ubrane, często bywały głodne, nie miały w domu telewizora, więc nie mogły uczestniczyć w rozmowach swoich rówieśników nt. aktualnych filmów, seriali i ich bohaterów. Lucy całe życie później borykała się z tym kompleksem, gdy w towarzystwie ktoś nawiązywał do jakichś postaci filmowych znanych z dzieciństwa. Na szczęście wtedy w sukurs przychodził jej kochający mąż, który znał jej problemy i chronił ją.

Jednak obie - matka i córka - unikają trudnych tematów. Lucy oczekuje od matki odpowiedzi na pytania, dlaczego musieli żyć w takich warunkach, dlaczego zamykano ją w furgonetce, dlaczego nikt jej nie przytulał i nie mówił, że ją kocha. Matka jednak woli snuć opowieści o ich wspólnych znajomych, krewnych, ale czasami dla Lucy obcych już ludzi, którzy też mieli nieudane życie, ich związki się rozpadły. Odniosłam wrażenie, że sama siebie próbuje uspokoić i wierzy, że innych też los nie oszczędzał. Kobieta była kompletnie zdominowana przez męża-weterana II wojny światowej - który zupełnie nie radził sobie z piętnem, jakie na nim odcisnęła. Nie umiała mu się przeciwstawić, ani ochronić przed nim swoich dzieci, zatem nie do losu można mieć tu pretensje. Tego Lucy nie usłyszy od matki, te wspomnienia powracają same i znów bolą jak dawniej.

Na szczęście dziewczynka odkryła w szkole świat książek, który poszerzał jej horyzonty i tworzył iluzoryczny azyl. Spotkała też wrażliwych nauczycieli, dzięki którym ukończyła szkołę średnią i wyjechała na studia, co pozwoliło jej oderwać się od chłodnego domu, a potem stworzyć własny, szczęśliwy dla swoich dzieci. Spuścizna II wojny, w przenośni i dosłownie, jeszcze raz pojawi się w jej rodzinie i stanie przyczyną kolejnych nieszczęść osobistych.

Jej córki, już dorosłe, zostaną skonfrontowane z niezrozumiałą dla nich decyzją rodziców o rozstaniu. Wtedy Lucy usłyszy od jednej z nich: „Mamo, kiedy piszesz powieść, możesz napisać ją od nowa. Ale kiedy żyjesz z kimś przez 20 lat, to też jest powieść, której nie napiszesz już z nikim innym.” No cóż, historia zatoczyła koło. Dorośli w każdym pokoleniu postępują w sposób dla dzieci niezrozumiały, a potem z trudem przychodzi im o tym po prostu porozmawiać.

We wspomnieniach Lucy pojawia się też dramatyczna historia związana z homoseksualnymi skłonnościami jej brata, w tle zaś co jakiś czas przewija się wątek chorych na AIDS, wtedy jeszcze nieznanej, groźnej choroby.

Akcja powieści toczy się dwutorowo, dość regularnie wydarzenia w czasie rzeczywistym przeplatają się z retrospekcjami z dzieciństwa, a nad tym, mamy poczucie, unosi się jakaś tajemnica, jakieś tabu, którego ani matka, ani córka do końca nie potrafią przełamać. Jednak jej funkcja terapeutyczna chyba została spełniona, bo na końcu bohaterka z dumą i godnością wypowiada swoje imię.

Reasumując, książkę warto wziąć do ręki i nie odkładać jej od razu po przeczytaniu. Bo jak wspomniałam na początku, choć można ją pochłonąć w kilka godzin, warto zatrzymać ją w myślach na dłużej. Wiele spraw bowiem zostało ledwie zasygnalizowanych, jakby z lękiem wspomnianych. Z lękiem, od którego Lucy z pomocą tej opowieści pragnie się uwolnić.

H.K.

Mamo,

nie dałaś mi krosna

do tkania sukna ze splotów marzeń

nie dałaś mi wiosła

bym mogła pokonać życiowe wiraże

i ostre, karkołomne zakręty

Nie dałaś mi… Boże święty!

Nie chciałaś? Nie umiałaś?

Mamo

nie dostałam od Ciebie tarczy do obrony

przed światem niezrozumiałym, szalonym

nie dostałam od Ciebie busoli

do wyznaczania kursu. Tak mnie boli

Twoja niemoc, Twoja bierność szorstka

nie dałaś mi… Matko Boska!

nie pomyślałaś? Może się bałaś?

Wspomnienia wirują, krążą mi nad głową

raz się czernią, raz bielą, to znowu różowią

tęsknota mnie dopada, oplata ramiona

tęsknota jakby ze snu rozbudzona

za gardło mnie chwyta, młyńskim kołem łamie

Mamo, ja wiem… Chryste Panie!

Ty nigdy nie płakałaś, ale Ty mnie kochałaś

***Eugenia Mieczkowska***